

Wspomnienia w zielonym mundurku.

*Gdy życie dawno pędzi z górki,*

*włączaj hamulce - i to szybko.*

*Kariera, kasa, - to są bzdurki,*

*- a Ty uważaj żebyś nie rypnął....*

Wierszyk, jak to wierszyk - niby głupawy, - a jednak.... Wymyśliłem go dla Was, wszystkie Kochane Mojowolaki. Pisząc wszystkie, mam na myśli zarówno piękne, wspaniałe Dziewczyny, które były przede mną, jak i wszystkich tych, którzy byli po mnie.

Do tego, żeby wziąć się za pisanie skłoniły mnie dwa powody. Pierwszy z nich to tworzenie strony internetowej. Autorowi szczerze gratuluję doskonałego pomysłu. Przy okazji serdecznie Cię Marku pozdrawiam. Drugim powodem był Maciek Kucharski, nasz wspólny Kolega, który do pisania zmobilizował mnie dodatkowo.

Zacząłem się od tego, że sprowokowany wspomnieniami spisany w wydaniu książkowym, sam napisałem do Maćka kilka zdań, (no może stron, - albo jakoś tak...). Te moje wspominki są może o tyle inne, że widziane z perspektywy ucznia, którego Rodzice w szkole pracowali. Plusem tej sytuacji był fakt, że pamięcią mogę sięgać do różnych roczników, w tym do czasów, w których szkoła pełna była Dziewczyn, minusem zaś to, że wiele atrakcji wynikających z życia internatowego nie była - niestety - moim udziałem. Te moje wspominki są może jeszcze o tyle inne, że chyba z trochę innej perspektywy widziałem naszych Kochanych Belfrów. Bez nich nie byłoby ani tej atmosfery, ani takich wspomnień.

W Mojej Woli początkowo mieszkaliśmy w budynku, który miał bogatą historię, bo wcześniej był karczmą, później ochronką dla dzieci, a przez jakiś czas był nawet domem starców. W moich czasach posiadał wdzięczną nazwę "Stare Miasto". W dwa, lub trzy lata później przeprowadziliśmy się na Podzamcze, do budynku dawnej powozowni, w której wcześniej mieszkali już Państwo Leraczykowie.

Pan Witold, przesympatyczny, przemiły Człowiek, był Dyrektorem szkoły. W czasach swojej młodości był znakomitym sportowcem, odnoszącym wielkie sukcesy w wielu turniejach. Wiem o tym, bo Jego synowie byli moimi kumplami z podwórka i czasem pokazywali zdjęcia Taty z tamtych czasów.

Pan Witold słynął z tego, że był Człowiekiem niezwykle opanowanym i praktycznie bardzo trudno było Go w jakikolwiek sposób wyprowadzić z równowagi. Czasami się to jednak zdarzało.

- A pamiętacie "łatyndę pieroniastą"?

Była to oznaka najwyższego stopnia irytacji Pan Dyrektora, robił to jednak w sposób tak sympatyczny i zabawny, że chyba nigdy, nikomu na świecie nie przyszło do głowy, żeby za taką "obelgę" się obrażać. Najczęściej było tak, że "łatynda pieroniasta" bawiła obie strony - zarówno darczyńcę, jak i obdarowanego, w każdym razie rozładowywała każde napięcia.

Nad mieszkaniem Państwa Leraczyków, w pokoiku na poddaszu, a później w dwóch, mieszkała Pani Elżbieta Staw. Mój Boże - pisanie o Niej nie jest łatwe, - świetny historyk, doskonały polonista, wspaniały psycholog, Człowiek, który swoją dobrocią zawsze potrafił podać rękę w chwilach trudnych.

Na codzien była to Pani bardzo elegancka, bardzo zadbana, niosąca ze sobą zapach najprzedniejszych perfum. Najczęściej można Ją było spotkać maszerującą przez park z dziennikiem lekcyjnym pod pachą, albo pędzącą na swoim wspaniałym, damskim rowerze. Rower był niebieski, a tylne koło zabezpieczone miał kolowrową siatką. Damskie rowery miały takie siatki, zabezpieczało to przed wkręceniem się spódnicy.

Czarne, roziskrzane oczy Pani Eli przenikały każdego, kto stanął na Jej drodze, a jeśli do tego dodać uśmiech, kilka życzliwych, sympatycznych słów, to po Jej zwykłym "dzień dobry" - człowiek mógł rzeczywiście spodziewać się czegoś dobrego.

Do Mojej Woli, Pani Elżbieta przeprowadziła się z Warcina w tym samym czasie, co i my z Ojcowa. Z Rodzicami przyjaźniła się jeszcze z czasów warcińskich i praktycznie od samego początku stała się dla nas członkiem rodziny. Bardzo lubiłem, jak Pani Elżbieta przychodziła w odwiedziny. Jej głośny, szczery, charakterystyczny śmiech (muszę powiedzieć, że z tego tytułu miała chyba nawet trochę kompleksów) zawsze niósł ze sobą wesołość i dobry nastrój. Niezapomniane były też wspólne, rodzinne spacerunki na łąki "pod dębami", na leśniczówkę Dzióbek, albo wieczorny przegadywanie na ławeczce pod oknami naszego domu. Na takich wieczornych, ławeczkowych spotkaniach najczęściej pojawiała się jakaś herbatka, ciasteczka, czasem kieliszeczek ratafii. Oczywiście, my, - dzieciarnia, nie braliśmy w tym udziału. Krążyliśmy gdzieś w najbliższej okolicy, grywając "w chłopaka", "w klasy", czy w zwykłą klipę, ale nastrój i atmosfera tamtych wieczorów, gdzieś zapisała się w pamięci.

Pani Elżbieta była magistrem, inżynierem rolnictwa. Swoją więź ze szkołami leśnymi, a nauczaniu w szkołach leśnych poświęciła całe swoje życie, wyniosła chyba z domu rodzinnego.

Mama Pani Elżbiety zmarła dość wcześniej. Tato - emerytowany Leśniczy, odwiedzał Ją najczęściej w okresie wakacji. W wakacje Panią Elżbietę odwiedzała też Jej starsza Siostra - Pani Zofia. Obie Panie były bardzo do siebie podobne.

Mansardowe okienko mieszkania Pani Eli, często oblegane było przez dzieciarnię. Jak twierdziła moja Mama, Pani Elżbieta wydawała "majątek " na słodycze, a że kochała dzieciarnię, to przez małe okienko Jej pokoiku, całymi garściami frunęły, - jak to mawiała - cukierasy.

Nauczycielem była wyjątkowym. Potrafiła z jednej strony, ze zdumiewającą łatwością, nawiązywać kontakt z ludźmi w różnym wieku, a z drugiej być Nauczycielem wymagającym. Uczniów zawsze traktowała bardzo poważnie. Miała chyba ten szczególny dar widzenia w młodym człowieku tego, kim może być w przyszłości. Nigdy nie ingerowała w osobowość swoich uczniów, nie próbowała jej zmieniać, narzucać jakichś wzorców. Można powiedzieć, że była bardziej życzliwym obserwatorem, który czasem coś podpowiedział, a bardzo często zmuszał do wyciągania własnych wniosków. W moich czasach, w stosunku do nauczyciela często używane było określenie - humanista. W dość uproszczonym tłumaczeniu można powiedzieć, że był to specjalista od ludzkiej osobowości, oczywiście w najbardziej pozytywnym sensie tego znaczenia. Pani Elżbieta była największym Humanistą jakiego znałem.

Czasem zadaję sobie pytanie - co było tak wyjątkowego w Mojej Woli?.

Co było powodem, że człowiek tak często wraca do niej wspomnieniami?. Wydaje mi się, że ogromny wpływ mieli na to Nauczyciele. Był to wspaniały zespół Ludzi, którzy traktowali swój zawód, jak sposób na życie.

Mieszkanie Pani Profesor Staw, popołudniami, najczęściej pełne było uczniów i zamieniało się w coś w rodzaju klubu dyskusyjnego. "Klub" nasilał swoją działalność oczywiście w okresie przedmaturalnym. Z rozmów prowadzonych w naszym domu wiem, że matury nie tylko przeżywali uczniowie, ale przeżywali je również Nauczyciele. Wydaje mi się, że w tamtych czasach, matura - zwana egzaminem dojrzałości, traktowana była chyba bardziej poważnie i bardziej uroczyście.

Pani Elżbieta była też twórcą i reżyserem szkolnego teatru amatorskiego. Jego początki sięgają

pierwszych lat istnienia szkoły. Technikum Leśne w Mojej Woli było wtedy szkołą wyłącznie damską. Trudno w to dzisiaj uwierzyć, ale leśne mundurki były wtedy opakowaniem wyłącznie dziewczyn.

Z tamtych czasów, gdzieś w zakamarkach pamięci został mi pewien epizod, w którym brałem również udział. Miałem wtedy sześć, czy siedem lat i nie chodziłem jeszcze do szkoły. Któregoś dnia Pani Elżbieta wpadła do nas do domu i ku mojemu zdumieniu sprawę miała tym razem do mnie. Była to pierwsza i jedyna w moim życiu propozycja zagrania w sztuce teatralnej. Po czymś takim z miejsca urosłem o pół metra.

Wszystkie role męskie odgrywały oczywiście odpowiednio przebrane i ucharakteryzowane dziewczyny. W rolach dzieciaków, obsadzony został kumpel z podwórka, i ja. Cała nasza kwestia, jaką mieliśmy do zagrania była dość krótka. Na scenę wchodziliśmy w drugim akcie. Na dany z za kulis przez Panią Elżbietę znak, mieliśmy powiedzieć - "tak tato" i usiąść we wskazanym miejscu. Początkowo wszystko szło zgodnie z planem. Dziewczyna przebrana za naszego tatę, z naszego punktu widzenia wyglądała dość głupawo, ale obaj z kumlem wytrzymaliśmy to ze stoickim spokojem. Niestety miejscem, na którym mieliśmy usiąść, był niski parapet jednego z dwóch wysokich okien. Scena była mała i chyba z tego powodu uznano, że zamiast na ławce, możemy usiąść na parapecie. Przejęci swoimi rolami, zajęliśmy uprzednio uzgodnione miejsca. Niestety, sadzając dupiny na parapecie, zapomnieliśmy o odsłonięciu długich firan, które przymocowane były do ciężkich, drewnianych ram. Jak to się stało, to szczerze mówiąc nie wiem, w każdym razie rama walnęła obok nas, nie robiąc nam żadnej krzywdy. Ja, jakoś z firan się wygrzebałem i grałem dalej rolę człowieka siedzącego. Kumpel tego jednak nie wytrzymał i "dał nogę" za kulisy. Po tym wszystkim, przez jakiś czas uważałem, że gaża aktorska - czekolada za występ, wypłacona była niezbyt sprawiedliwie.

Wpadki aktorskie zdarzają się na scenach zawodowych, a co dopiero na scenach amatorskich. Pamiętam, że szkolny teatr wystawiał swoje przedstawienia w okolicznych wioskach. Całą scenografię i trupę aktorską, przewoził szkolnym, nowiutkim wtedy STAREM 25, Pan Franio Jankowski - nasz szkolny kierowca.

Tytułu sztuki niestety też nie pamiętam. Z całą pewnością był to dramat. W scenariuszu, pod koniec dramatu występował ksiądz, który ujmując za rękę główną bohaterkę w nastroju przygnębienia i rozpaczony miał powiedzieć - umarła. Kwestia była króciutka, ale bardzo znacząca. Była to oczywiście scena finałowa.

Z księdza w owych czasach nie wypadało robić sobie "jaj" i przebranie dziewczyny w sutannę nie mogło wchodzić w grę. Jedynym chłopem, jaki był pod ręką z jeżdżącym teatrem był Pan Franek. Sprawa była krótka. Pani Ela wypożyczyła od zaprzyjżnionego księdza Repicha sutannę i Pan Franek, nie mając wyjścia został aktorem.

Sztuka wystawiana była w klubokawiarniach okolicznych wiosek i cieszyła się bardzo dużą popularnością. W końcu przyszedł czas wystawienia jej na scenie szkolnej. Występ Pana Franka na scenie macierzystej przyniósł jednak ze sobą sytuację, której nikt nie przewidział. Pan Franek nie musiał jechać samochodem, w związku z czym wałnął sobie dla odwagi "kielicha".

Sztuka zaczęła się planowo. Aktorzy grali wspaniale, a widownia prawie pochlipywała z żalu. Teresa Zawicka , piękna blondyna o długich prawie, anielskich włosach, z niesamowitym wyczuciem wygłaszała do zachodzącego słońca, swoją trochę przydługawą kwestię, w której rozstawała się z życiem.

Trzeba powiedzieć, że widok Frania Jankowskiego w sutannie, wprowadził co poniektórych w osłupienie. Gdzieś tak w połowie "umierania" Teresy, Pan Franio zaczął się trochę na krześle wiercić, wykazując znaczne oznaki znudzenia. Właściwie na scenie trzymała Go już tylko jedna rzecz - piorunujące wejrzenie Eli, która wszystkiego, - jak zwykle - pilnowała za kulisami. Wreszcie Franio dotrwał do momentu, w którym miał powiedzieć swoje , sakramentalne - umarła. Powiedział to jednak z taką radością i zadowoleniem, że prawie zapłakana publiczność w jednej chwili zaczęła płakać ze śmiechu. Oczywiście sztuka, - jak to się mówi - zeszła z afisza, a Pan Franek nigdy już więcej nie włożył sutanny.

Pana Frania Jankowskiego zawsze wspominam i będę wspominał z ogromną sympatią. Wiele razy w drodze ze szkoły, lub do szkoły, zabierał mnie swoim szkolnym STAREM "na łebka". Czasem załapywałem się na wyprawy po chleb do Cieszyna. W mojej pamięci zawsze będzie Człowiekiem pogodnym, miłym i dowcipnym.

Miłe Dziewczyny z tamtych lat, ja mam ogromną prośbę. W mojej łepetynie, po takim czasie mogło się coś przestawić i tak do końca, tak na sto procent, nazwiska aktorki grającej główną rolę, nie jestem pewien. Jeśli się pomyliłem, to najmocniej przepraszam. Byłbym zachwycony, gdyby któraś z Pań zechciała nawiązać kontakt i w tej sprawie się wypowiedzieć.

Do tego, żeby opowiedzieć Wam jeszcze jedną anegdotę, a właściwie historię najprawdziwszą, muszę sięgnąć do najgłębszych zasobów mojej pamięci.

Było to w czasach, gdy Pani Elżbieta zaraz po przeprowadzce z Warcina zamieszkała w pałacu, w maleńkim pokoiku pod wieżą. Numeru sali już nie pamiętam, ale dla wtajemniczonych, - był to pokoić pod wieżą, z oknem na park, znajdujący się na tym samym piętrze, co izolatka.

Dopóki trwał rok szkolny i pałac był pełniutki dziewczyn, mieszkanko było fajne i wygodne. Niestety sytuacja zupełnie zmieniła się, gdy przyszły wakacje. Biedna Pani Elżbieta została w pałacu samiuteńka. Wspomniane już mieszkanko w mansardowym pokoiku powozowni, było dopiero szykowane do zamieszkania.

Był piękny, popołudniowy, lipcowy dzień. Obie rodziny, tj. nasza i Leraczyków, rozsiadły się na ławeczce przed domem i, jak zwykle, o czymś tam sobie rozprawiały. W pewnym momencie od strony parku rozległ się rozdzierający wrzask.

Wszyscy zerwali się na równe nogi i pognali zobaczyć, co się stało. Na środku tarasu pod wieżą, stała blada i roztrzęsiona Pani Ela. Ręką pokazując w stronę swojego pokoiku wykrztusiła:

- Tam, - tam, - tam - w moim pokoju ktoś wisi!!!.

Oczywiście całe towarzystwo popędziło na górę zobaczyć, kto to jest, i co tak rzeczywiście się stało. Przy biednej i rozdygotanej Eli została tylko moja Mama i mocno Ją przytulając, tłumaczyła:

- No już dobrze, dobrze. - Eluśka Kochana, - tam nikogo nie ma.

Po krótkiej chwili w drzwiach wejściowych stanął Pan Leraczyk, trzymając w ręku parę butów związaną sznurówkami.

- Znalazłem to na lampie w Twoim pokoju. Jeśli to ma być ten Twój wisielec, to pewno reszta poszła sobie gdzieś na spacer. Krótko mówiąc, ktoś zrobił Ci głupi kawał.

W tym momencie Pan Witold wymownie popatrzył na Mamę, a ta przyznała się do wszystkiego. Otóż ilekroć Mama chciała się spotkać z Panią Elżbietą, a nie zastała Jej w domu, to zostawiała jakąś wiadomość. Tym razem, jak sama przyznała, wpadł jej do głowy głupi, irracjonalny pomysł, żeby powiesić na lampie buty. Nigdy jednak przez myśl jej nie przeszło, żeby skojarzyć je z wisielcem.

O reakcji Pani Elżbiety, oraz całym mnóstwie obietnic, jakie w związku z tym głupawym pomysłem zostały złożone Mamie nie będę pisał, bo i po co.

Cała ta historyjka miała jednak pozytywny epilog. Pani Elżbieta klucze do swojego nowego mieszkanka - mansardowego pokoiku w powozowni - dostała następnego dnia.

Jeśli we wspomnieniach powędrowałem do lat pięćdziesiątych, to muszę powiedzieć, że po głębokich, a jak na owe czasy, wręcz rewolucyjnych zmianach, jakie nastąpiły po roku 1956 w relacjach państwo - kościół, stosunki uległy zdecydowanej poprawie. Ksiądz Repich wszedł w skład rady pedagogicznej, a w szkole noszącej imię Bolesława Bieruta, jednym z przedmiotów stała się religia.

Szkoda, że współcześni ideolodzy jakoś o tym nie chcą pamiętać. Trwało to dość krótko, ale było faktem.

W tym też czasie, razem z kumplami z podwórka przyodziliśmy białe szaty i staliśmy się pobożnymi ministrantami. Do rozlicznych obowiązków minisranta należało nie tylko służenie do mszy, ale również kalikowanie, czyli ręczny napęd kościelnych organów oraz udział w kolędach. Temu właśnie udziałowi w kolędach, a właściwie w jednej, chcę poświęcić teraz kilka zdań.

Oczywiście najważniejszą i tą najbardziej oczekiwaną kolędą, była kolęda u dziewczyn w



internacie. O ile my traktowaliśmy to bardziej służbowo i niestety mniej emocjonalnie (cóż - taki wiek, - miałem wtedy lat siedem), to biedne dziewczyny miały na głowie przygotowanie całej imprezy. Na tą okoliczność świetlica udekorowana była niesłychanie. Centralne miejsce zajmował wspólny stół. Ponieważ zasiąść przy nim miały wszystkie uczennice oraz zaproszeni goście, stoły połączone ze sobą tworzyły wiałkie koło, przykryte białymi obrusami. Porcelanowa zastawa, przyniesiona prosto ze szkolnej stołówki, lśniła czystością w blasku świec. Na scenie, centralne miejsce zajmowała najpiękniejsza na świecie choinka. Co tu dużo gadać, ludziskom żyło się wtedy skromniuteńko. Dla biednych dziewczyn, nawet bombki choinkowe były wtedy problemem. Tu jednak z pomocą pośpieszyli nauczyciele i połowa dekoracji z naszej, domowej choinki powędrowała do internatu. Oczywiście pod choinką musiały się również znaleźć prezenty. Prezenty, o ile wiem, dziewczyny przygotowywały sobie wzajemnie. Było to tak zorganizowane, że swojego prezentu nie mógł być pozbawiony żaden uczestnik spotkania.

Na tak oto przygotowaną kolędę, z Księdzem Repichem na czele, dzwoniąc niezwykle ambitnie, zestawem ręcznych dzwonków, wkroczyliśmy do internatu. Na samym wstępie, nasz trzosobowy zespół, dysponujący niezwykle silnymi sopranami, miał zamiar zacząć repertuar od "Przybieżeli do Betlejem". Niestety udało się nam zaśpiewać tylko - ...przybieżeli. Ksiądz Repich przerwał nam występ, z uprzejmą radą, żeby resztę zaśpiewać może troszkę później.

Ponieważ, jak już wspomniałem, całe przyjęcie zorganizowały uczennice, to i rolę gospodarza pełniła jedna z nich. Niestety Jej nazwisko nie utrwaliło się w mojej łepetynie. Pamiętam, że główny wodzirej kolędy, dysponował służbą pomocniczą. W jej skład wchodziły trzy anioły i dla równowagi trzy diabełki. Ich zadaniem była obsługa stołu, a na samym wstępie, dyslokacja gości. Nie było tu żadnego stołu "prezydialnego" a goście jak wchodziłi na salę, tak wsiąkali w tłum. Oczywiście, każdy wchodzący gość był witany brawami i przedstawiany przez Wodzireja. Atmosfera była serdeczna i rodzinna. Ujmujący był również fakt, że nauczyciele zaproszeni byli z całymi rodzinami. Wśród nas znalazły się wszystkie małżonki nauczycieli, ale również i Pani Szczerkowska - teściowa Pana Leraczyka, i Pani Osko - teściowa Pana Zaprzalskiego. Każy z gości rozlokowany był między dziewczynami. My, oczywiście też. Jak sobie tak dzisiaj człowiek pomyśli na jakich wtedy siadywał kolanach.... - eeeh!! - Cóż, - wtedy jednak, jak już wspomniałem, miałem lat siedem i do tego byłem pobożnym ministrantem.

Cały program wieczoru nie przewidywał nawet jednego przemówienia natomiast każdy z zaproszonych gości poczuwał się do obowiązku złożenia życzeń. Były kolędy. Dziewczyny opowiadały o sobie, o swoich domach, goście o najciekawszych albo najdawniejszych kolędach jakie pamiętali. Czasem zakręciła się jakaś łezka. Najbardziej wzruszający był moment rozdawania prezentów. Ponieważ, jak już wspomniałem, dziewczyny robiły prezenty sobie nawzajem, było przy tym dużo śmiechu.

- Dzisiaj wielu z nas zastanawia się, co nas tak do tej Mojej Woli ciągnie.

- Ludziska Kochane, - to wszystko chyba gdzieś wlało w ściany tego zamczyska...

Wróćmy jednak do wspomnień o Pani Elżbiecie.

Czas mijał i w końcu ja sam stałem się uczniem technikum. Muszę powiedzieć, że życie syna Nauczyciela nie było takie różowe. Człowiek idąc na zajęcia zawsze miał tę świadomość, że każda ewentualna wpadka może być na bieżąco konsultowana z Rodzicami - i cóż wtedy? - Wielki, - e tam wielki, - ogromny wstyd. W tym miejscu, muszę z całą szczerością powiedzieć, że moje wyniki w nauce ( a uczniem byłem raczej przeciętnym) nigdy nie były przez Panią Elżbietę komentowane. Dla łebka, który dopiero co skończył podstawówkę, był to jakiś krok w dorosłość. Bardzo to w Niej ceniłem.

Gdzieś tak w drugiej połowie sierpnia 1966 roku przyszedł moment, w którym rozstałem się z Moją Wolą. Rodzice przeprowadzili się do Tucholi,, a mnie przyszło kończyć Warcino. Tak się złożyło, że po dwóch latach do Warcina przeprowadziła się również Pani Profesor Staw. Tym razem sytuacja się odwróciła. Teraz ja mieszkalem w maleńkim, mansarodwym pokoiku na górze i znowu byliśmy sąsiadami. Pani Elżbieta była jednak już zupełnie innym Człowiekiem. Dawny, pogodny, bardzo charakterystyczny śmiech zniknął bezpowrotnie. Bardzo często w niedzielę odbywaliśmy dość długie, wspólne spacery do maleńkiego, biedniutkiego, wiejskiego kościółka w Osowie. Były wtedy okazje, żeby pogwarzyć sobie na różne tematy - o ludziach, o życiu... Pani Elżbieta była tym wyjątkowym Człowiekiem, z którym bez skrupowania można też było pomilczeć. Nigdy nie mówiła o swoich problemach, a ja nigdy nie odważyłem się do nich nawiązywać.

Kiedyś, siedząc z moją Siostrzyczką przy kawie (Zojka jest absolwentką Mojej Woli) z głupia frant - palnąłem:

- Wiesz, pójde zrobić trzecią kawę. Kogo z naszych Starych Belfrów najchętniej byśmy na nią zaprosili...

Oboje równocześnie wykrzyknęliśmy - Elę!!!

Pani Elżbieta była niezwykłą Osobowością, niezwykłym Nauczycielem i niezwykłym Człowiekiem. Sądzę, że wielu z nas oddałoby, - jak to się dzisiaj mówi - każde pieniądze, za to, żeby można było usiąść i choćby wypić razem kawę.

Jak już wspomniałem, większość Nauczycieli, zwłaszcza z tej starej mojawolskiej Gwardii, traktowała swój zawód, jak sposób na życie. Ich praca nie ograniczała się do zwykłej 45-ciominutowej godziny lekcyjnej, choć i te były prowadzone na wysokim poziomie. Bardzo wiele swojego prywatnego czasu poświęcali, jak to się dzisiaj szumnie mówi, na tworzenie bazy dydaktycznej.

Dziełem wykonanym pod nadzorem Pana Profesora Zaprzalskiego (a często z Jego udziałem bezpośrednim) było arboretum zlokalizowane obok domu nauczycielskiego na "Starym Mieście". Przeniesiono je później w okolice internatu i przekształcono w szkołę dydaktyczną. Zgromadzenie wszystkich gatunków lasotwórczych i większości gatunków taksonomicznych runa, charakteryzujących typologię, było dość dużym i pracochłonnym przedsięwzięciem. Był to doskonały poligon do prowadzenia ćwiczeń z botaniki, czy hodowli lasu. Jeszcze więcej pracy i zaangażowania wymagała budowa dużego alpinarium, zlokalizowanego w bezpośrednim sąsiedztwie internatu.

Profesor miał taki zwyczaj, a właściwie taki sposób bycia, że obok spraw dużych, którymi się zajmował, i które realizował zawsze, znajdował czas dla pojedynczej duszyczki. Pomiętam, że kiedyś zaraził mnie robieniem preparatów mikroskopowych. Cały przejęty, gnałem wtedy na Dzióbek po jakieś pantofelki, okrzemki i Bóg wie co jeszcze.... Sierść się na mnie jeżyła, jak na młodym naukowcu. Oczywiście cała sprawa,, jak przyszła, tak poszła. Naukowcem nie zostałem, ale emocje były, było fajnie i jest co wspominać.

Przemiłemu Panu Joachimowi, zawdzięczam również umiejętność obsługi projektora kinowego.

Kochani - taki operator kinowy, - jak to się mówi - to było to...

Po świecie jeździły wtedy żółtoniebieskie ciężarówki, marki Lublin, i każdemu, kto chciał, przywoziły nie tylko kronikę filmową, ale również kawał kinematografii.

Trochę później filmy można było zamawiać wysyłkowo. Szkoła zakupiła projektor, a ekipa pod nadzorem Pana Profesora mogła zmówić takie filmy, jakie widownia sobie życzyła.

Wracając do operatora, to taki operator, to było stanowisko niezwykle odpowiedzialne. Po pierwsze, to filmy były łatwopalne i jak się tam coś zacięło, to z projektora ogienek buchał sobie wesoło natychmiast, a po drugie (i najważniejsze) to naród mógł się pogapić tylko wtedy, jak taki operator zrobił pstryk, - jak nie zrobił, - to nie - i była tylko ciemność....

Pod nadzorem Pana Profesora Biegańskiego, w głębi parku, uczniowie wybudowali takie obiekty sportowe jak: skocznia w dal, skocznia w wyż, poręcz gimnastyczne, rzutnie oszczepem, kulą, boiska do siatki, kosza, piłki ręcznej, piłki nożnej. To wszystko pozwalało nie tylko na realizację zajęć z wychowania fizycznego, ale również pozwalało na realizację różnych zainteresowań sportowych poza lekcjami. Na mecze piłki nożnej, czy piłki ręcznej przyjeżdżały reprezentacje z innych szkół, a nawet klubów sportowych.

" Oczkiem w głowie" Dyrektora Wiatra było wybudowanie zbiornika wodnego, który spełniałby rolę basenu kąpielowego. Basen prawie w całości wykonali uczniowie. Dzisiaj trudno w to uwierzyć, ale praktycznie całość prac wykonana była ręcznie przez uczniów.

Praktycznie każdy zawodowiec prowadził również swój gabinet przedmiotowy. Cóż to było takiego? W osobnych wygospodarowanych przez szkołę pomieszczeniach urządzane były pracownie, w których gromadzone były zbiory, preparaty i pomoce naukowe wykonywane najczęściej przez uczniów.

Wiem, że Nauczyciele w jakimś sensie współzawodniczyli ze sobą o najbogatszy, najlepiej urządzony gabinet. To wszystko wymagało pracy i zaangażowania.

Czasem pomoce dydaktyczne były wykonywane przez Nauczycieli własnoręcznie. Pamięam, że mój Tato przez jakiś czas, obok swojej ochrony lasu, był nauczycielem budownictwa. Program

nauczania technikum był wtedy dość szeroki. Tytuł technika zobowiązywał do tego, aby miał on jakieś, choćby ogólne pojęcie o budownictwie, rolnictwie, ogrodnictwie i wielu innych dziedzinach, jak to

się mówiło - potrzebnych w życiu. W ramach ponocy lekcyjnej do porowadzenia swojego budownictwa, Tato wybudował leśniczówkę. Był to oczywiście model w skali 1:25. Był on tak zrobiony, że poszczególne kondygnacje nakładały się na siebie, dzięki czemu, można było mieć wgląd do rozkładu pomieszczeń. Wszystko zrobione było z dużą dokładnością i precyzją, a leśniczówka miała nawet własne oświetlenie. Wymagało to ogromnej pracy, ale wyglądało pięknie. Tato uzdolnienia politechniczne odziedziczył po Dziadku i leśniczówkę podziwiali wszyscy. Innym przykładem Jego niesłychanej pracowitości, była kolekcja ilustracji wyświetlanych w trakcie zajęć lekcyjnych z epidiaskopu. Kolekcja gromadzona tematycznie w specjalnych skrzynkach, liczyła kilkanaście tysięcy ilustracji ze świata: ssaków, ptaków, gadów, płazów, owadów, a nawet ras psów i Bóg wie, czego jeszcze. Wszystko było zbierane, pracowicie wycinane i wklejane na kartony formatu A-4, starannie opisywane po polski i po łacinie z dokładnie podaną systematyką. Działo się to w czasach, w których epidiaskop, czyli zwykły rzutnik, był jednym z najbardziej nowoczesnych urządzeń audiowizualnych.

Nauczyciele pisali również dla swoich uczniów podręczniki. Takim przykładem był podręcznik dla techników leśnych do maszynoznastwa. Jego autorem był nasz Sąsiad ze Starego Miasta - Pan Inż. Tadeusz Pączek. Autorem podręcznika do hodowli lasu, był Pan Inż. Zbigniew Spychalski - dyrektor Technikum w Warcinie. Pan Prof. Zbigniew Sznajder - pierwszy Dyrektor Technikum w Warcinie - był autorem jednego z najbardziej cenionych kluczy do oznaczania owadów leśnych. Do tego Grona dołączył również mój Tato. Jego skrypty do ochrony lasu, napisane dla kilku kolejnych roczników, obejmowały praktycznie całość tematyki: poczynając od szkód wywoływanych przez przyrodę nieożywioną, fitopatologię do całej entomologii włącznie. Podręczniki były opracowane na bardzo wysokim poziomie, a co ważniejsze napisane językiem bardzo komunikatywnym i łatwo przyswajalnym dla ucznia. Pamiętam, że Tato napisaniu tych książek poświęcał każdy wolny czas, w tym kilka kolejnych wakacji. Wielu moich kolegów, a przyznam się, że i ja sam, ze skryptów tych przygotowywałem się później do egzaminów z ochrony lasu na studiach.

Dzisiaj w dobie Internetu i praktycznie niczym nie skrzepowanego dostępu do informacji takie metody nauczania, jak to się mówi - trącą myszką, ale wtedy nie było innych i wydaje mi się, że nasi Nauczyciele budowali swój autorytet głównie swoją pracowitością.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Tato zaangażował się w tworzenie pierwszego w Polsce, Wydziału Zaocznego. Stworzenie tej szkoły dawało możliwość uzupełnienia wykształcenia i dla

wielu ludzi już pracujących, możliwość dalszego awansu. Tato sam studia, a później studia magisterskie, ukończył w systemie zaocznym i sytuację tych ludzi rozumiał doskonale.

Mniej więcej w tym czasie, w Mojej Woli pojawił się Pan Doktor Jan Łopuski. W związku z zaangażowaniem się w pracę na wydziale zaocznym, Tato musiał zrezygnować ze znacznej części zajęć w technikum i tak ochrony lasu zaczął uczyć Pan Doktor. Była to jedna z bardziej malowniczych postaci jaka przwinęła się przez szkołę. Wysoki, łysy, starszy Jegomość o dużym i dość rubasznym poczuciu humoru, z głową w obłoku najprzedniejszego, fajkowego dymu, był przez wszystkich powszechnie lubiany.

Tradycją i zwyczajem każdej szkoły, był fakt przypisywania nauczycielowi przezwiska. Przezwiska, a raczej ksywy bywały różne, czasem bardziej, czasem mniej złośliwe. Oczywiście ich autorami byli na ogół uczniowie. Mówię na ogół, bo w tym jedynym przypadku, autorem własnej ksywy stał się sam Pan Doktor, - a było to tak.:

Dzienniki lekcyjne były dokumentem przeprowadzonych lekcji i jako takie, potwierdzane były własnoręcznym podpisem prowadzącego. Pan Doktor miał zwyczaj podpisywania się skrótem Łop. Do rubryki obok podpisu wpisywany był miesiąc i tak Pan Doktor własnoręcznie nadał sobie tytuł - Łopluty. Dla osoby postronnej taka ksywa mogłaby się wydać wyjątkowo złośliwa, a nawet obrzydliwa, jak jednak wspomniałem Pan Doktor miał duże poczucie humoru., ksywę przyjął na własność i był nią nawet rozbawiony.

Obok licznych swoich talentów, Pan Doktor dysponował też niezwykle silnym barytonem. Słynna pieśń rosyjskich flisaków, "Wołga, Wołga, - mać radnaja" - w krótkim czasie stała się czymś w rodzaju hymnu, który wstrząsał całą okolicą, a rozlegał się z okna maleńkiego pokoiku, pod wieżą, będącego mieszkaniem Pana Doktora. "Wołga, Wołga" była też najczęściej sygnałem rozpoczynającego się pojedynku szachowego. W takiej jednak sytuacji, pieśń poprzedzana była bojowym okrzykiem - "Jojne!!! Jojne!!! - choć na wojne!!! Chodziło o to, że obok Pana Doktora Łopuskiego, ściśle biorąc na drugim końcu korytarza, mieszkał przez jakiś czas Pan Profesor Platon Pleskacz. Nie wiem czym kierowała się Mamusia Pana Profesora nadając Mu takie właśnie imię, trzeba jednak przyznać, że do osobowości Pana Profesora było ono dopasowane idealnie. Pan Profesor był matematykiem, doskonałym szachistą i jedynym godnym Pana Doktora przeciwnikiem. Do historii przeszedł słynny pojedynek Pana Profesora, w którym grał On równocześnie na dziesięciu szachownicach, wygrywając dziewięć pojedynków i remisując jeden. O Jego fantastycznej pamięci świadczy fakt, że następnego dnia potrafił odtworzyć przebieg wszystkich pojedynków. Było to przedmiotem zakładu, który Pan Profesor wygrał.

Matematyki, Pan Profesor Pleskacz, nauczał dość krótko. O ile wiem, był On oddelegowany na zasadzie porozumienia międzyszkolnego z jakiegoś ogólniaka w Odolanowie. Stało się to po odejściu przesympatycznego Pana Profesora Leona Kowalczyka - naszego sąsiada ze "Starego Miasta". Miejsce Pana Profesora Pleskacza zajęła Pani Irenka Przybylska. Pani Profesor Przybylska była absolwentem wydziału matematyki i Moja Wola była chyba Jej pierwszym miejscem pracy. (dla jedenastoletniego wówczas sąsiada, który mieszkał piętro niżej, była to absolutnie najpiękniejsza Kobieta na świecie). Niestety, Pani Irenka przestała być naszą Sąsiadką i wyprowadziła się z Mojej Woli po dwóch latach. Pozbawiona takiej urody matematyka, przeszła znowu w ręce męskie.

Młode, silne ręce Pana Profesora Wacława Junika, dziarsko ujęły łopatę z matematyką, ale niestety w moim przypadku nawet łopatą się nie dało. Moja, pełna luzów łepetyna, nie zatrzymywała prawie niczego, co było ściśle. Przekonała się o tym również Pani Profesor Junikowa, która próbowała mnie choć trochę oświecić fizyką. W tym miejscu przemila, i przesympatyczną Panią Bogusławę bardzo, bardzo, serdecznie pozdrawiam.

Ze wszystkich mojawolskich Nauczycieli, Pan Wacław był chyba najbardziej związany z malowniczymi okolicami. Mogłbym nawet powiedzieć, że Jego sylwetka tak wpisała się w krajobraz, że dla mnie stała się jego częścią.

Okolice Mojej Woli były również moim rajem (niestety utraconym). Pana Wacława często w nim spotykałem - a to nad stawami, - a to nad Młyńską Wodą, - a to na łąkach "pod dębami" ... - Zawsze miły, uśmiechnięty... - Okazja do krótkiej, sympatycznej rozmowy.... - Czasem, nawzajem chwaliliśmy się wynikami grzybobrań... We wspomnieniach, do okolic Mojej Woli zawsze wracam z drżeniem serca i zawsze jest w nich miejsce dla Pana Profesora.

Moi mili, sympatyczni, teleczytelnicy - chyba mi się trochę "czas poślizgnął ". Byłoby mi szalenie miło, gdyby jakaś dobra Duszydzka też zechciała usiąść do klawiatury i wałnąć jakiś koncert.

Serdecznie wszystkich pozdrawiam

Zbychu Kozak

## Wspomnienia Zbigniewa Kozaka

Wpisany przez Administrator

środa, 30 listopada 2011 18:05 - Poprawiony sobota, 03 grudnia 2011 22:42

---

P.S

- a wierszyka, to się Ludziska *nauczta* - na pamięć.

***Tekst przesłany został do admina mailem w dniu 30 listopada 2011 roku.***